

jazdy wznosi się w powietrze i płynie zupełnie spokojnie nad powierzchnią wody. Szczęśliwie to połączenie balonu z łódką, ma doniosłe znaczenie dla żeglugi powietrznej i wodnej, rozwiązuje bowiem w ten sposób jedno z najtrudniejszych zagadnień mechaniki. Po próbach na Lago Maggiore, przystąpiono od razu do budowania hydroplanu w wielkich rozmiarach, by sprawdzić, czy wynalazek ten będzie miał znaczenie nie tylko teoretyczne, ale i praktyczne.



Żadne państwo na świecie nie cieszy się takim rozgłosem jak państwo doktora uniwersytetu oxfordzkiego. Niema miesiąca, aby się w nim nie wydarzyło coś takiego, co by nie wzbudzało najszerszego zainteresowania. Jeżeli z czegoś cały świat się śmieje, jeżeli coś cały świat swą potwornością zdumiewa, jeżeli na coś cały świat pluje, to z pewnością to coś urodziło się nad Sprewą. Dzięki dostojnikom dworskim i wojskowym doktora prawa uniwersytetu oxfordzkiego, wszystkie łady zamieszkałe, a czytać umiejące, miały przez cały październik wesołą hardenowsko-moltkowską zabawę. Po tej farsie ministerium tegoż doktora prawa wystawiło w listopadzie dramat p. t. „Wywłaszczenie“, który przejął do głębi uczuciem oburzenia wszystkie ludy umysłowo i etycznie pożyteczne. Krytyką tego dramatu zajmują się wszystkie pióra ncziwe, a na zbiorową krytykę zdobył się parlament austriacki.

Kronikarz „Nowości“ ma obowiązek ten fakt zanotować, ale nie potrzebuje się nad nim rozwodzić, bo go już uprzedziły i wyreczyły wszystkie nasze dzienniki. Cóż zresztą mógłby dodać do napiętnowania tych środków barbarzyńskich, przynoszących hańbę ludzkości i cywilizacji, które rząd pruski chce zastosować do Polaków, aby im wydrzeć z pod nóg ziemię ojczystą.

Ale (proszę mi darować) z tych wszystkich napiętnowań niewiele będzie pożytku. Ulżymy sobie, ten i ów się wygada, ten i ów ładny frazes ułoży i wypuści, dostanie za to oklaski — i na tem koniec. Niemcom to nie zaszkodzi, a nam nie pomoże. Jedyne protest rozumny, to hasło bojkotowania Niemców, hasło nienapychania im kieszeni i hasło tępienia u nas niemczyzny. Ale (Boże drogi!) te hasła były u nas głoszone, a rezultat ich zawsze był taki maleńki, że zaledwie przez lupe możnaby go dojrzeć. Słowa: *nie kupujemy towarów niemieckich!* — rozlegają się ciągle, a po tętniej co kilka lat po każdym łajdactwie pruskim i gdyby każde takie słowo wypowiedziane lub wydrukowane pozbawiło Prusaków choćby jednej marki zarobku, to przez ten czas trzydziestoletni, kiedy te słowa słyszymy głoszone prywatnie lub publicznie, straciłoby Prusacy kilkaset milionów marek. To nie żadna przesada. Przynajmniej sto dzienników i innych pism peryodycznych powtórzyło to hasło, lekko licząc po 100 razy, a więc ukazało się ono w druku 10.000 razy — ponieważ zaś przecięciowo każde pismo wychodzi w 5000 egzemplarzy, więc 50 milionów razy czarno na białem było to hasło wydrukowane — a że każdy numer pisma czyta znów przecięciowo 5 ludzi, zatem dojdziemy do 250 milionów. Drugie 250 milionów razy hasło to zostało ustnie wypowiedziane. Gdyby więc skutek każdego takiego słowa wyraził się w kwocie jednej marki. Prusacy straciłoby dotychczas 500 milionów! Może znowu komuś się wyda, że to przesada, bo skądżebyśmy aż tyle im utargować dali. Prawda, że niema przed sobą dat statystycznych i wątpię, czyby można nawet dojść do nich, ale nie wątpię, że corocznie w Wielkopolsce, w Galicyi i pod zaborem rosyjskim Prusacy sprzedają swego towaru co najmniej za 30 milionów marek, co w ciągu lat 30 wyniosło około miliarda — 500 milionów byłoby zatem dopiero połową tej sumy.

Nam nawet na myśl nie przychodzi, ile za różne „drobiazgi“, nie mówiąc o „wielkich towarach“, Prusakom płacimy i to za drobiazgi, których by-

najmniej od nich brać nie potrzebujemy. Oto takiego np. Odolu, płynu do płukania ust, jeżeli nie gorszego, to z pewnością nie lepszego, niż wszystkie inne w tym celu wyrabiane (płyn np. profesora Cybalskiego, nasz własny, ma daleko więcej wartości) sprzedaje się corocznie w samej Galicyi kilkadziesiąt tysięcy flaszek. Albo pasta na obuwie berlińskiej firmy Globus, tak zwana Globina. Fabrykant jej zamówił niedawno 3 miliony pudełek blaszanych na eksport do Austrii, z czego 750 tysięcy kazał wykonać z napisami polskimi, a więc dla Galicyi. A przecież takiej samej dobroci mamy pasty wiedeńskie, czeskie i... nasze własne krajowe. Za samo „głancowanie“ więc butów i trzewików naszych, zapłacimy Prusakom 300.000 koron!

Otóż należałoby sobie życzyć, aby to hasło bojkotowania towarów pruskich nie było dalej, jak dotychczas, częstą gadaniną. Gadamy, krzyczymy, a kupcy wciąż sprowadzają towar pruski i my go kupujemy. Nie na każdym zresztą jest podane skąd pochodzi — a choćby był napis, to go można wyskrobać lub zalepić. Chcąc akcję dobrze poprowadzić, potrzeba koniecznie stworzyć kontrolę. Powinno się zawiązać jakieś stowarzyszenie, którego zadaniem będzie ostrzeganie publiczności i piętnowanie tych kupców, co kupczą swem sumieniem, swym obowiązkiem względem społeczeństwa. Tu nie powinno być żadnych kompromisów, żadnej litości. Należy zastosować najskrajniejszy ostracyzm: ogłaszać z imienia i z nazwiska każdą firmę, sprowadzającą pruskie towary, i odwracać się od niej, jak od zapowietrzzonej.

Ale choć dzwonię na to kazanie, to wątpię, abym je nysłyszał. Pogadamy na ten temat jeszcze z miesiące, wniesiemy parę setek protestów, nakiwamy Niemcom palcem w bucie, w tem nadejdą jakie wybory, zapomnimy o wszystkim i zaczniemy się kłócić, czy Gawła czy Pawła zrobić posłem, radcą lub jakim innym dygnitarzem. U nas każdy entuzjazm jest na krótką metę.

Pamiętacie np. jakie hołdy oddawaliśmy Siemiradzkiemu, kiedy ofiarował swe „Pochodnie“ naszemu miastu i dał przez to początek Muzeum Narodowemu. Nazywaliśmy go najpierwszym mistrzem, stawialiśmy go wyżej Matejki. Potem drugi entuzjazm, kiedy namalował ową śliczną kurtynę do naszego teatru, namalował prawie za darmo, bo pracował nad nią lat parę, a to co dostał, zaledwie może wróciło mu koszta. Urządziliśmy mu też wspaniały pogrzeb, sprowadziliśmy go na Skałkę. Obecnie „Pochodnie“ wiszą sobie, ale nie na honorowym miejscu, które im słusznieby się należało, a kurtyna niezadługo należeć będzie do... wspomnień historycznych. Nie jestem fachowcem, ale ci, co się na tem znają, twierdzą, że gdyby ona była nawet ze stali, to musiałaby się popsnąć, wytrzeć, przez ciągłe wysuwanie i podnoszenie. Wiemy, że coś „zaciekało“, że porobiły się przez to na niej znaczne uszkodzenia. Następnie fachowcy podnoszą i to, że jako malowana farbami woskowymi, które nie wysychają, lecz są zawsze lekkie, staje się ona pastwą kurzu, którego w teatrze nigdy nie brak i który też ją gryzie, gryzie, aż całkiem zgryzie. To też kurtyna już dziś przedstawia obraz nędzy i rozpaczy — takiego nieuszanowania dzieła sztuki nie było chyba przykładu. Możeby więc zawiązać jaki komitet „ochrony kurtyny“. Ktoś, z kim o tem mówiłem, radził, aby zrobić jej kopię i niech tę kopię sobie kurz gryzie, niech na tej kopii woda żłobi sobie zacieki — a oryginał powinien znaleźć miejsce w Muzeum Narodowym. Powtarzam tę myśl, może nią się zaopiekunie jakiś radca miejski, jakiś mecenas, może panowie konserwatorzy dzieł sztuki przypominają sobie, że kurtyna to nie kawał powalnego farba płótna, ale także dzieło „sztuki“ i że ją konserwować należy, zanim się stanie ruiną.

A propos naszych „entuzjasmów“ nie mogę zapomnieć o tych telegramach, które się sypią do posła Kramarza za jego wystąpienie w sprawie wywłaszczeń. W jednym z nich nazwano go „obroncą Polski“. Otóż mam pewne wątpliwości, czy przy takich obrońcach Polska zostałaby obroniona. Bo p. Kramarz dotychczas nigdy nie odznaczał się wielką dla nas już nie miłością, ale sympatją. Najsrozsze prześladowania, doznanawane przez nas w innych stronach, nietylko go nigdy boleśnie nie dotykały, ale należał do tych, co im dawali pełną aprobatę. W Austrii całkiem nas nie kocha. Jeszcze przed rokiem pamiętamy, jak się „załapał“, kiedy się odezwał, że Niemcy austriacy pogodzili z Czechami mogą o nas nie dbać, jak radzi, aby przy reformie wyborczej do Rady państwa skrzywdzić Polaków. Że pan Kramarz, jako kramarz, skorzystał z niekczemności pruskiej, aby

upiec swój interesik, aby dokuczyć Prusakom i wygrać swą wszechsłowiańską melodyę, to było z jego strony bardzo zgrabne i polityczne. Możemy się cieszyć, że Prusak i z tej strony dostał po palcach, ale nie bądźmy naiwni i nie sądźmy, że p. Kramarz chce być „obroncą Polski“.

Naiwnością wogóle aż nadto grzeszymy nawet w drobiazgach. W kilku pismach warszawskich czytam artykuł zatytułowany: „Czy to możliwe?“ Przytaczam go w całości: „Ożeniony z Ludwiką Saską, pianista Toselli ogłasza w „Giornale d'Italia“ list do redaktora tegoż pisma, donosząc, że miał odbyć podróż po Rosyi i rozpocząć ją od Warszawy. Na przeszkodzie stanęła okoliczność, o której Toselli pisze: „Ale wyobraź pan sobie, że niejaki p. Rajchman, dyrektor Filharmonii warszawskiej, zaproponował mi za pośrednictwem mojego agenta w Medyolanie, ażeby na tych dwóch koncertach siedziała na przodzie estrady moja żona. Pan jesteś człowiekiem serca i szlachcicem, to pojmujesz, jakim bólem przejęła mnie ta propozycja. Żałuję mocno, że istnienie tego człowieka pozbawiło mnie możliwości przedstawienia mego talentu muzycznej i inteligentnej publiczności polskiej“.

„Wiadomość ta — dodają warszawskie dzienniki — wydaje nam się tak nieprawdopodobną, że jeszcze raz zapytać musimy: czy to możliwe?“

A my pytamy się, czy to możliwe, aby tę wiadomość uważać za nieprawdopodobną? Dla nas jest niemożliwym przypuszczenie, aby podobna propozycja ze strony p. Rajchmana była niemożliwą. My się nawet dziwimy, że nie chciał np., aby po każdym „kawałku“ pan koncertant został publicznie nęciskany przez panią Ludwikę *primo voto* Saską, *secundo* Gironową, *tertio* Tosellową. To byłoby zupełnie w stylu rajchmanowskim.



Kącik humorystyczny.

W kasarni.

Podczas tak zwanej szkoły, pyta podoficer szeregowca:

- Jakim powinien być żołnierz?
- Powinien być dobrym patriotą austriackim — odpowiada szeregowiec, sądząc, że zaśmiał się na pochwałę.
- Głupiś — woła podoficer. — Czy ty jesteś posłem do parlamentu? Powinien być wymyty i wypucowany. Rozumiesz?

Z egzaminu.

Profesor (do kandydata, który na żadne pytanie nie odpowiedział). Może mi kandydat przynajmniej powie, co on tu przy egzaminie robi...

Kandydat (milczy).

Profesor. Proszę mi w każdym razie wybać to pytanie, bo na nie ja sam nie mogę odpowiedzieć.

Pantofel.

Pan do stangreta, który zaprzęga konie:

- Janie, a gdzie pani jedzie?
- Do teatru.
- A nie wiesz, czy mnie weźmie ze sobą?

Nęcące.

Matka narzeczonej (prowadząca biurko sług):

— Gotówki mojej córce wprowadź w posagu dać nie mogę, ale mogę jej dać od razu trzy służące!

Nieporozumienie.

Ojciec (do konkurenta) Co? Żenić się chcesz z moją córką, młodzieńcze? A potrafisz ty żywić rodzinę?

Konkurent (skromnie). Przepraszam! ale ja choć się żenić tylko z córką, a nie z całą rodziną...

